



artur nowaczewski wyrywki

Co wypada

deszcz, ten się wypada do ostatniej kropli. gdzie byłem, no, nad ulicą puszczałyśmy zapalki z prądem. tak wypadło. trzeba przecież skorzystać, że z deszczu na chodniku powstają nowe kontynenty.

a wczoraj to wpadł do mnie kolega, pożyczył sobie moich żołnierzy, tak sobie cicho pożyczył, dopiero jak wyszedł zobaczyłem, że brakuje kilku komandosów brytyjskich.

tak, wiem, nie wypada pisać o wszystkim i o niczym, ale ja jeszcze nie piszę. ja mówię, na początku były słowa, których nikt nie układał. jestem przecież tylko małym puzzlem i dopiero potem ułożę się w siebie, takim jakim mnie znacie.

zrywało się

to jest moje podwórko, a za nim to nie wiem. więc czuję się jak hobbitt, gdy przekraczam próg ulicy. wiem, nie wolno się oddalać, moja mama myśli, że bawię się w piaskownicy, a mnie tam już nie ma, ścigam się z jakimś chłopakiem na kapsle. miasto sobie się rozchodzi w różnych kierunkach chodnikami i ścieżkami z żużla, smakują mi landrynki i oranżada w zielonej butelce. a jabłka

z tamtej działki, zrywało się, zrywało, tak bez osoby albo od razu w wielu osobach działo się wszystko, więc wiemy mniej więcej, jak to było.

Commodore 64

to, że zwiększa się rozdzielczość, wcale nie oznacza, że widać więcej. wczytuję się w dzieciństwo, a tam: komputer z pamięcią 64 kilobajty.

dzisiaj, kiedy wszystko jest mega, nikt nie spojrzysz na to, co kiedyś było cudem, nie tylko techniki. ktoś bowiem pojmie, że siaba grafika była bliżej

tego, co niewidzialne.

gleba jak świeże ciasto. pachnie metalem. jak rodzynki tkwią w ziemi łuski naboju, napoleoński guzik znaczy szlak odwrotu wielkiej armii. kiedyś szedł tędy żołnierz i ginął. ja też zaraz pójść i zginę z oczu patrzy mi nienapisany wiersz.

aż strach pomyśleć, co trzyma pan od biologii na zapleczu. w tej klasie nie ma ani jednej żywej żaby, wszystkie są martwe, w słoikach można obejrzeć ich układy krwionośne. tuż obok szczur zamknięty w klatce, zęby o pręty ściera i z cicha popiskuje. jest teraz lekcja o życiu płodowym i pan od biologii przyniósł płód. płód ma ręce i nogi, powoli zaczyna patrzeć, widzę, że jest chłopcem, ma tyle lat,

co ja.

ludzie - to od nich się zaczyna: nowi przychodzą na miejsce starych. potem z krajobrazu odpadają tynki, marszczy się postać rzeczy, książki pokazują to, czego dawniej nie znaleźliśmy, marną formę i gust. tak więc po latach samemu trudno mi się odnaleźć, bo przecież jestem już sobą w innym wydaniu. zawsze jednak chcę ugryźć swój drugi koniec języka, samą prawdę, w której mam myślenie.

Ptaki

w tle słychać ptaki, ale nie potrafię ich przywołać słowem. mój atlas ptaków milczy w temacie ich śpiewu. każdy gatunek mogę obejrzeć z osobna na barwnych tablicach, w lesie jednak nie dojrzę takiego ptaka swą rosnącą krótkowzrocznością.

znam za to gruchanie gołębi i ćwierkanie wróbli. umiem też zauważyć gawrony na śniegu. ale to potrafią nawet dzieci i nie potrzebują do tego poezji. więc jak mam pisać i co? bełkotliwe haiku? poemat o konturach miejskiej zimy?

wyrywek

życie idzie sobie po mnie jak po łące. no, to cyk. łapię je w dwa palce. wrywa się nóżkami i skrzydełkami. życie jest na wyrywki, śmierci będą na skrawki, tak sobie mówię i z dłoni je wypuszczam, niech leci.

śmierć Herberta

geometria gór nadal niezmienna. skończyła się burza, światło pisze wieczór, a lato trwa, choć szron drąży oko pod powieką.

Książę Poetów, gdzie jest twoja armia, czy już padły Termopile? przyszedłem bez słowa, ale też chcę się bić i maszerować

światlistą ścieżką, mogę być na przykład ołowianym żołnierzykiem bez jednej nogi, tropicielem szczurów w pobliskich kanałach.

pierwsze śniegi

pierwsze śniegi zawsze spadają jeszcze we śnie. czasem mają kształt promienistych gwiazdek, a czasem są wielkie jak pingpongowe piłeczki, co to Pan Bóg sypie nimi z chmury.

rankiem nieprzetarte, w zeszłym roku też spadły, pamiętam, jak rozrzucili ślady na polanie, i aż do wieczora nikt ich nie zdeptał, tylko trochę je rozdziobały głodne łapki wron.

bo te pierwsze ślady są zawsze najgłębsze, potem już tylko odcisk odciskiem się dociska, więc pierwsze śniegi są jak miłość, co budzi się

w jasnym pokoju.

płynny monolit

stojąc na mostku wpatruję się w płynny monolit wszystko jeden szum nas pochłonie myślę: kropło mogłaś spaść wtedy z deszczem. może wtedy poznałbym cię odróżnił od innych a tak jesteś tylko przenośną drobiną atomem strumienia. oko cię nie dojrzy ani ucho nie usłyszy w tym potoku dźwięków tylko gęsta materia kamienia może się wyraźnie przebić przez powierzchnię wody sunie dziurkowany kadłub małego statku z kory na sosnowej gałązce co tu akurat jest masztem ktoś zawiesił banderę Kapitana Kida. Kapitan Kid nie większy od żuka postanowił wylądować po drugiej stronie jeziora aby spotkać się z plemieniem szczególnie żarłocznych czerwonych mrówek. te wszystkie obrazy są chwilę we mnie i ogarnięte dawnymi pociągnięciami spojrzeń przechodzą w stan nieistnienia: łodygi trzciny, wiosła kajaków w pomarszczonych taflach chwiejnie rozrzucone między sosnami pudełka kempingowych domków wszystko to opadnie na dno zwane pamięcią. a ja naraz jestem tylko patrzyeniem i patrzę

tu wraz z sobą jakby w sobie jakby obok.

to tylko tak wygląda że wkładam kij do wody jakbym chciał zawrócić Wisłę w rzeczywistości ratuję tonącą mrówkę której nie widać na zdjęciu